

Joanna od dwudziestu piw

W domu czekał na mnie wiecznie pijany mąż. Stawiał przede mną otwartą butelkę piwa i szczał: Napij się, suko! Przecież to lubisz! Piłam, bo bałam się jego, bałam się przestać. Bo szukałam pociechy, bo byłam słaba. Bo chciałam pić!

Człowiek nie wie, kiedy zaczyna pić. Bo czy można nazwać alkoholizmem jedno, dwa piwa wypite codziennie po obiedzie? Czy można pomyśleć o sobie „pijaczka”, wychylając brudzia z sąsiadem, sącząc drinki z przyjaciółką, asystując w obalaniu ćwiarteczki wiecznie niezadowolonemu mężowi, który wtedy traktuje cię lepiej? Dopóki sprzątasz, pierzesz, gotujesz, jesteś w stanie nakarmić dzieci i wstać rano z łóżka, nie myślisz o sobie „alkoholiczka”. Myślisz: Jestem nieszczęśliwa, mam niepełnosprawne dziecko, mąż mnie lekceważy, nie mam pracy ... Znajdujesz kolejne powody, aby ciągnąć kilkuletniego syna z przedszkola, zahaczyć o osiedlowy monopolik. Po obiedzie znowu poczujesz się lepiej. Dzieci śpią, czysto na stole. Myślisz: Zasłużyłam sobie na nagrodę. Z jednego piwka robi się dziesięć, z jednego drinka, butelka.

Czasami mijają długie lata, zanim zobaczysz to jasno: Jestem alkoholiczką, pogrążyłam się w nałogu. Potrzebuję pomocy... Joanna, lat 45, Bydgoszcz. - Moje wejście w nałóg tak właśnie przebiegało. Na początku niewinnie. Piłam przeważnie piwo, bo było tanie. Na rauszu mogłam prowadzić dom. Mogłam nawet opiekować się niepełnosprawną córką. Nie myślałam o sobie, że zaczynam mieć poważny problem. Problem to miał mój mąż, który chlał wóde i awanturował się. Ja byłam tylko biedną, zahukaną kobietką, która czasem topiła smutki w złotym płynie... Ale z „czasem” zrobił się codzienny rytuał. Piwko po obiadku, przed kolacją, przed spaniem Rano kawa, papieros i... piwo. Potrafiłam wypić ich w ciągu dnia kilkanaście! Nie, nie zwałam się z nóg jak świnia. Bywało, że zapadałam w pijacki sen. Potem miałam potężnego kaca, chodziłam zaniedbana. Ale zawsze pilnowałam garów i dzieci. Rano syn ciągnął mnie za włosy, mówił: Wstawaj, mama! I ja zwlekałam się z wersalki. O tym, że jestem alkoholiczką nigdy nie pomyślałam. Asia uważała, że pijakiem w ich domu jest mąż. - Grzegorz chlał. Aż trudno nazwać mi to inaczej. Prawie codziennie wracał z pracy pijany, pieklił się, wyzywał. Żeby wyhamować lęk przed nim, wołałam być już lekko wstawiona. Często piłam razem z nim, bo lepiej mnie wtedy traktował. Jak to się kończyło? Awanturą! O pierdoły - o za gorzką herbatę, nie umyty talerz. Darł się na mnie jak opętany, to i ja się darłam. Tylko kiedy bił, nie potrafiłam mu oddać. Bałam się o siebie i dzieci, że i na nie rzuci się z łapami. Przelykałam łzy i zamykałam się z dziećmi w dużym pokoju. Jeszcze przez kilka godzin słyszeliśmy, jak rzuca się po mieszkaniu, coś bełkoce, bluźni, wyzywa ... Trzy zahukane zwierzątka - wiecznie podpita matka i wystraszone dzieciaki... Tak wtedy wyglądało moje życie.

Prawdziwy horror zaczął się, kiedy Grzegorz stracił pracę i przestawał dawać Asi pieniądze na życie. - Wszyscy sąsiedzi z bloku wiedzieli, że u nas patologia. Przyzwyczaili się do ciągłych wrzasków, do interwencji policji. Ale pewnie nikomu nie przyszłoby wtedy do głowy, że głodujemy! Wstawałam rano z łóżka i gapiałam się martwo w pustą lodówkę. "Chryste, my nie mamy co jeść!", rozpaczalam. Szłam więc do sąsiadów, do znajomych. Tu dyszkę pożyczyłam, tam piątaka. Jak kupowałam chleb i margarynę, to reszta musiała wystarczyć choć na najtańsze piwo. Dzieciom dawałam chleb, ja piłam. Aby zdobyć środki na życie, Asia poszła do MOPS-u wystarać się o przywrócenie świadczenia pielęgnacyjnego na córkę. - Ale pani pije! - usłyszała. Obiecała, że pójdzie na leczenie. Bo jak ona przestanie pić, oni dadzą jej pieniądze. Więc kłamała.

- Nawet wtedy nie udało mi się zerwać z nałogiem - opowiada kobieta. - Przez kilka miesięcy zwodziłam urzędników, że się leczę, aby tylko nie utracić świadczenia. Chodziłam nawet do ośrodka na terapię! W domu czekał na mnie wiecznie pijany mąż. Stawiał przede mną otwartą butelkę piwa i szczerzył się - Napij się, suko! Przecież to lubisz! - Piłam, bo bałam się jego, bałam się przestać. Bo szukałam pociechy, bo byłam słaba. Bo chciałam pić! Mąż upokarzał mnie, bił, a ja nie przestawałam bronić się piciem. Uwierzyłam, że jestem nic nie warta szmatą, miałam potworne wyrzuty sumienia jako matka. Doszłam do wniosku, że jestem zerem. Nie wytrzymam tego dłużej. Chciałam umrzeć.

Ale nie jest łatwo odebrać sobie życie. Człowiek ma silny instynkt samozachowawczy, a ja miałam przecież jeszcze dzieci! Pomyślałam, że jak umrę, zostawię je na pastwę losu. Będzie zajmować się nimi ten potwór - ojciec. Dlatego zmieniłam zdanie: nie zdechnę ja, ale on. Zabiję go!

Tego wieczoru piliśmy razem. Mąż, choć nie spaliśmy ze sobą trzy lata, zażądał ode mnie stosunku seksualnego. Poczulałam, jak zalewa mnie fala obrzydzenia. Kiedy mu kategorycznie odmówiłam, wstał, rąbnął głową w futrynę drzwi aż krew zalała mu twarz i zadzwonił po policję. Kiedy przyjechali wybełkotał, że rzuciłam się na niego z pięściami. Zabrali mnie na izbę wytrzeźwień. On, ten skurwiel, został pijany w domu, z dziećmi. Na izbie obmyślałam sobie naiwny planik - wezmę z piwnicy trutkę na szczury. Rano wsypię mu do herbaty. Potem niech bydlak zdycha, ja będę wreszcie wolna. Po powrocie do domu, otworzył mi drzwi przestraszony syn. - Gdzie ojciec? - zapytałam. - Śpi - odpowiedział. Zeszłam więc do piwnicy i zgarnęłam z tekturowej podstawki trochę czerwonego proszku. „Nawet szczury nie chcą tego żreć”... Przemknęło mi przez głowę. Zniosłam to na górę i wsypałam do szklanki. - Rano dosypię herbaty i zaleję wrzątkiem - postanowiłam. Tej nocy nie zmrużyłam oka ani przez chwilę. O świcie przyszły łzy. Morze łez. Spływały mi do ust, rozmywały po policzkach i szyi. Trzęsłam się, łkałam, dusiłam od płaczu. Jak jakiś pieprzony film przeleciało mi przed oczami całe życie. Boże, mój Boże! Co się ze mną porobiło? To był przełom. Coś we mnie drgnęło. Dalej popijałam, awanturowałam się z mężem, ale czułam też, że dojrzewam do decyzji. Nie, żeby zabić siebie czy jego. Ale żeby wreszcie to z siebie wyrzucić, wyartykułować, usłyszeć w głowie wyraźnie: Aśka, jesteś alkoholiczką. I wiesz co? Zrób coś z tym, do cholery!

Kilka miesięcy po awanturze z futryną, w wiosenny, majowy dzień wstałam wcześniej rano i starannie się ubrałam i uczesałam. Potem zrobiłam dzieciom śniadanie i poszłam razem z nimi do ośrodka leczenia uzależnień na moim osiedlu. Powiedziałam, że chcę porozmawiać z terapeutą, że JESTEM ALKOHOLICZKA. Prosiłam, aby zawołali do mnie jakąś kobietę. Przed facetem nie mogłabym się otworzyć. Terapeutce Reni po raz pierwszy w życiu zwierzyłam się z głębokiego, wciąż nie mijającego smutku po przedwczesnej śmierci matki, opowiedziałam o apodyktycznym ojcu, o młodszej miłości do męża i chęci wyrwania się z domu, o toksycznym, pełnym palącej nienawiści małżeństwie, nigdy nie leczonej depresji z powodu niepełnosprawności dziecka, o poczuciu kompletnego osamotnienia i bezradności w wychowywaniu syna. Rozmowa trwała kilka godzin. Poczulałam ulgę. Usłyszałam wtedy magiczne zdanie: "Jeszcze możesz zmienić swoje życie". Musiałam tylko spełnić jeden warunek. Zero picia. Codziennie, dzień za dniem. Zero!

Od tamtej rozmowy minęło prawie dziesięć lat. Asia przyznaje: - Nie da się opisać w kilku zdaniach, jak trudne były to lata. Psychoterapeutka stawiała mnie na nogi przez półtora roku. Potem zaczęły się spotkania w grupie samopomocowej i w grupie wsparcia. Biegałam na nie wytrwale, bo czerpałam z nich siłę potrzebną do walki z nałogiem. Wiedziałam, że nie mogę tego zaniedbać. Że choć nie piję rok, dwa, trzy - nadal jestem osobą chorą i podatną. Że żyję z wyrokiem. W międzyczasie był burzliwy rozwód z mężem, problemami finansowymi, postępującą chorobą córki, trudny, kolejny związek z trzeźwiejącym alkoholiczkiem, ciąża i przedwczesna śmierć maleńkiej córeczki, Oliwii...

- Jednak ani razu, przez cały ten czas, nie sięgnęłam po alkohol. Ani kropelki! - cieszy się Joanna. - Bywało, że wyłam z bólu. Marzyłam, aby się zatracić. Chciałam przerwać to przekłete pasmo życiowych niepowodzeń. Zapić, a potem zamknąć oczy i nie obudzić się już więcej. Ale wytrwałam w trzeźwości. I choć moje życie nadal nie jest żadną sielanką, odzyskałam siebie, poczucie godności i wartości, jako człowieka i matki.

Epilog: Joanna od trzech lat jest w udanym związku z trzeźwiejącym alkoholikiem. Są po zaręczynach, planują ślub. Syn jest już dorosły. Pracuje, mieszka z matką. Z pierwszym mężem alkoholikiem, od lat nie mają żadnego kontaktu. Choroba córki postępuje, ale Asia stara się tym nie zadreżać. O tym, że nie pije prawie dziesięć lat nie pozwala mówić. - Proszę napisać - dziewięć lat i pięć miesięcy. Do dychy jeszcze kawał czasu. Najgorsze, jak alkoholik poczuje się za pewny swego, da ponieść się pysze. Ja trwam w trzeźwości długo i chcę wytrwać do końca. Mam nadzieję, że to jest moje przeznaczenie. Że z tego wytrwania rozliczy mnie Bóg.

Tekst: Joanna Weyna Szczepańska